

Henry Hazlitt i wschodzące pokolenie libertarian

Autor: **Jeff Rigggenbach**

Źródło: mises.org

Tłumaczenie: **Monika Butryn**

Transkrypcja odcinka pt. „Henry Hazlitt” podcastu [Libertarian Tradition](#)

Podczas roku akademickiego obejmującego semestr zimowy roku 1964 i semestr letni roku 1965 byłem na pierwszym roku studiów. Był to również mój pierwszy rok, w którym miałem do czynienia z międzyuczelnianymi debatami, po 4 latach międzyszkolnych debat w szkole średniej. Jestem przekonany, że debaty rozwinęły się pod wieloma względami w ostatnim półwieczu i nie do końca wiem, jak to jest być uczestnikiem debat w dzisiejszych czasach, lecz wówczas bycie nim oznaczało spędzanie większości weekendów, przez cały rok szkolny, na turniejach kół dyskusyjnych rozgrywanych w innych szkołach. Zasadniczo rozpoczynały się one w piątek po południu i kończyły w okolicach niedzielnego południa.

Jeśli uczęszczałeś do szkoły z wysoko rozwiniętym programem kół dyskusyjnych, prawdopodobnie spędzałeś *każdy* weekend od 1 października do 1 maja na takich turniejach. Bycie członkiem koła dyskusyjnego w tamtych czasach oznaczało, że wszyscy twoi najlepsi przyjaciele byli również członkami kół (z twojej szkoły lub z innych), których widywałeś każdego weekendu na turniejach. Nie miałeś wiele czasu, by poznać innych ludzi. Poza czasem spędzonym na lekcjach, twoim życiem były debaty.

Bycie członkiem koła polegało wówczas na dyskusowaniu jednego twierdzenia lub „tematu dyskusyjnego” przez cały rok. Większość turniejów miała jednak również w planie „występy indywidualne”, czyli konkursy polegające na publicznych wystąpieniach, których można było podjąć się indywidualnie. Dyskusje prowadzono w zespołach złożonych z dwóch osób. Rywalizację na turniejach podejmowało się w parze z „partnerem”, czyli twoim dyskusyjnym kolegą. Można było jednak samemu wziąć udział w „mowach improwizowanych” lub „oratoriach oryginalnych”. Większość dyskutantów podejmowała się tego wyzwania. Losowało się kawałek papieru z miski,

na którym widniał temat przemowy, dotyczący niedawnych wydarzeń na świecie i bieżących kontrowersji. Miało się 30 minut na ułożenie dziesięciominutowej mowy na wylosowany temat.

By być przygotowanym na temat wylosowany z miski, trzeba było codziennie czytać gazety. Należało jednak również być na bieżąco z trzema tygodnikami: *Time*, *Newsweekiem* i *U.S. News & Report*, przez cały okres szkoły średniej i studiów oraz, wskutek wpojonego zwyczaju, przez wiele lat później. Ja w końcu odzwyczaiłem się od tego, lecz to już inna historia.

Czytałem wówczas *Time*, *Newsweek* i *U.S. News & Report* co tydzień. Jednym z doświadczeń uzyskiwanych przez czytanie Newsweeka na początku lat 60. był dział o nazwie „Business Tides”. Tytuł sugerował, że jest to rubryka poświęcona wiadomościom biznesowym, ale tak naprawdę oferowała szeroki i wnikliwy komentarz na temat wszystkiego, co miało w jakikolwiek sposób do czynienia z ekonomią czy gospodarką. Prowadził ją mężczyzna o nazwisku Henry Hazlitt, który, jak się dowiedziałem, był również autorem krótkiej książki [Ekonomia w jednej lekcji](#), opublikowanej pierwotnie w 1946 roku, kilka miesięcy przed moimi narodzinami. Przeczytałem tę książkę podczas roku akademickiego 1964/65 — mojego pierwszego roku studiów — gdy debatowaliśmy nad propozycją wprowadzenia przez rząd federalny narodowego programu prac publicznych dla bezrobotnych.

Wówczas, jeśli pojawiłeś się na turnieju dyskusyjnym, musiałeś być przygotowanym zarówno na przedstawienie argumentów za kwestią poruszaną w danym roku — nazywało się to byciem po „pozytywnej” stronie debaty — albo zwalczaniem argumentów przedstawianych przez zespół przeciwników, którzy byli za kwestią – było po „negatywnej” stronie debaty. By przejść turniej, miałeś być po pozytywnej stronie w przynajmniej dwóch debatach i po negatywnej również minimum w dwóch.

Większość dyskutantów, jak i większość ludzi, nie jest obdarzona zbyt dużą wyobraźnią. Na ogół są, jak nazwała ich Ayn Rand, „betonowcami” (*concrete-bound*): uwikłani w przyziemne szczegóły i niezdolni do dostrzeżenia większej, bardziej abstrakcyjnej perspektywy — posługując się banalnym powiedzeniem: niezdolni do ujrzenia lasu przez zbyt wielkie poświęcanie uwagi pojedynczym drzewom. Dlatego większość drużyn dyskusyjnych w roku akademickim 1964/65 opowiadała się za federalnym programem prac publicznych dla bezrobotnych, opisując godne

pożalowania położenie bezrobotnych rodaków; mówiąc o tym, jak to wolna gospodarka zawsze będzie miała mały odsetek bezrobotnych nie z własnej woli i twierdząc, że cudowne doświadczenie Works Projects Administration i powiązanych z nią programów w czasie Nowego Ładu ukazało, jak wielki sukces mogłyby odnieść projekty prac publicznych w łagodzeniu tego problemu.

Nie chciałem podejmować tej kwestii w debacie w starciu z kompetentnym przeciwnikiem. Zbyt łatwo mógłby mnie pokonać. W gruncie rzeczy to była po prostu nieprawda. Wiedziałem, że bezrobotni Amerykanie w połowie lat 60. byli bodaj najbardziej dostatnimi biednymi ludźmi w dotychczasowej historii ludzkości. Wiedziałem, z lektury *Ekonomii w jednej lekcji* Henry'ego Hazlitta na początku semestru zimowego, że nie ma dobrowolnego bezrobocia w wolnej gospodarce, chyba że jest ono spowodowane przez rząd. Wiedziałem, że programy prac publicznych w czasie Nowego Ładu były dalekie od skuteczności, niezależnie od kryteriów oceny.

Co więc ja i mój dyskusyjny kolega zrobilibyśmy, gdyby przyszło nam zająć pozytywną stronę w tej kwestii? Postanowiłem, że uciekniemy się do strategii zaskoczenia. Nie będziemy przekonywać, że panuje wysokie bezrobocie, lub że „bezrobocie strukturalne” jest nieuchronne w gospodarce wolnorynkowej, lecz będziemy bronić tezy, że cykl koniunkturalny jest nieunikniony w gospodarce wolnorynkowej i że nasze cudowne doświadczenie podczas Nowego Ładu dowiodło, iż rząd potrafi załagodzić najgorsze konsekwencje owego cyklu przez wprowadzanie programów prac podczas kryzysów i wycofywanie ich w okresach boomów.

Z lektury Henry'ego Hazlitta wiedziałem, że to również nie jest prawdą. Lecz co mogłem zrobić? Nie było żadnych zgodnych z prawdą, dobrych i dających się obronić powodów, by popierać narodowe programy prac publicznych dla bezrobotnych. Lecz zasady debaty wymagały ich poparcia, przynajmniej przez chwilę, jeśli chciało się wygrać — lub chociaż dobrze wypaść — w jakimkolwiek turnieju w owym roku akademickim. Przynajmniej za sprawą wykorzystania cyklu koniunkturalnego naszą bronią było zaskoczenie. Mało zespołów, nawet spośród tych najlepszych, było przygotowanych do dyskusji na temat cyklu koniunkturalnego. Płątali się bezradnie, głównie dlatego, że, jak powiedziałem, większość z nich, nawet najlepsi, nie byli obdarzeni wyobraźnią, byli skoncentrowani na konkretnych rzeczach i nieprzywykli do myślenia o rzeczach w szerokiej perspektywie, na przykład o cyklu koniunkturalnym w gospodarce rynkowej. Tym sposobem wygraliśmy rundę, pomimo słabości naszych

argumentów.

Jak mówiłem, za sprawą czytania rubryki Henry'ego Hazlitta w „Newsweeku” przez kilka lat oraz jego *Ekonomii w jednej lekcji* na początku semestru dowiedziałem się, że argument o cyklu koniunkturalnym był słaby. Wiedziałem jednak również, że musiałem się jakoś ratować. Jeśli wymyśliłbym ten argument w celu użycia go w dyskusji, inni ludzie też by go wymyślili. Byłem sprytny, lecz nie aż tak, by inni ludzie nie dostrzegli możliwości, które ja widziałem w keynesowskiej teorii cyklu koniunkturalnego — możliwości zamknięcia ust zespołu po negatywnej stronie poprzez zaprezentowanie niestandardowego argumentu „za”. Wobec tego musiałem być przygotowanym na zabicie argumentu o cyklu koniunkturalnym, w razie gdybym znalazł się po negatywnej stronie. Udałem się więc do biblioteki w poszukiwaniu intelektualnej amunicji. Znalazłem niezwykłą książkę o tytule *The Failure of the „New Economics”: An Analysis of the Keynesian Fallacies* — jej autorem był nikt inny jak Henry Hazlitt. Zburzyła mój argument o cyklu koniunkturalnym do cna i za jej sprawą zacząłem się zastanawiać: kim w ogóle jest ten Henry Hazlitt?

Nie uzyskałem odpowiedzi na to pytanie przez dobrych kilka lat. Pamiętajcie, że była to epoka przed Internetem, gdy dostęp do informacji był trudniejszy i często wymagał spędzenia popołudnia lub dwóch w dobrej bibliotece po to, by dowiedzieć się czegoś, czego dzisiaj dowiedzieć się można w pół godziny bez wychodzenia z domu. Lecz ostatecznie dowiedziałem się, że Henry Hazlitt urodził się 116 lat temu (tekst napisany w 2000 r. — przyp. tłum.), 28 listopada 1894 roku w Filadelfii. Jego ojciec zmarł, gdy Henry był niemowlęciem, więc wraz z matką mieli ciężkie życie przez następnych dziewięć lat, po których ta ponownie wyszła za mąż i przeprowadziła się z synem i jego nowym ojczymem do Brooklynu. Tam właśnie Henry Hazlitt dorastał i w tamtejszych szkołach publicznych po raz pierwszy zasmakował edukacji. W chwili śmierci jego ojczyma był na drugim roku w City College na Manhattanie, a jego śmierć wpędziła rodzinę z powrotem w objęcia biedy, przez co Hazlitt musiał odejść z uczelni i znaleźć pracę, by wesprzeć owdowiałą matkę. Po kilku miesiącach wykonywania prac biurowych, postanowił spróbować pracy w gazecie. Lubił pisać i w wolnym czasie pracował nad ukończeniem manuskryptu swojej pierwszej książki. „Zdecydowałem, że chcę być dziennikarzem — powiedział wiele lat później reporterowi, który przeprowadzał z nim wywiad — ponieważ był to jedyny sposób, jaki dostrzegałem, by móc pisać”.

I tak w 1915 roku, w wieku 20 lat, Henry Hazlitt rozpoczął pracę dla „Wall Street Journal”. Początkowo polegała ona na pisaniu dyktowanego tekstu na maszynie. Reporterzy przekazywali swoje historie przez telefon, dyktując ze swoich notatek lub czytając na głos już napisane — często ręcznie — teksty, a Hazlitt przepisywał je na maszynie, po czym trafiały do redakcji.

Sękiem w tym, że Hazlitt pisał już lepiej, niż jakikolwiek reporter „Journala”, dla którego robił stenogramy — było to ewidentne dla każdego, kto popatrzył na jego dojrzałą jak na jego lata pierwszą książkę, którą ukończył na krótko przed dołączeniem do ekipy „Journala”. Została opublikowana w jesieni 1915 roku, zaraz przed jego dwudziestymi pierwszymi urodzinami, w niedalekim odstępie czasu od momentu, w którym został awansowany ze stenografisty na reportera — nazywała się *Thinking as a Science* i stanowiła zestaw obserwacji na temat metodologii mentalnego trawienia treści, które człowiek czyta, lub których dowiaduje się o świecie, pisana językiem uderzająco dojrzałym, pewnym siebie i wyważonym, z pewnością nie językiem kogoś, kto dopiero skończył być nastolatkiem.

Rozważania Hazlitta o rozważaniach były naturalnym efektem jego zachłannego czytania, którym próbował wynagrodzić sobie brak wyższego wykształcenia, które czuł, że zostało mu zabrane, gdy musiał zrezygnować ze studiów, by wesprzeć matkę. Jego nauka nie polegała jednak w całości na czytaniu — opierała się także na obserwacji i rozmowach z ludźmi. Hazlitt dużo się nauczył o tym, jak działa gospodarka, między innymi podczas relacjonowania wiadomości biznesowych dla „Wall Street Journal” oraz, nieco później, dla „New York Evening Mail” — w obydwu przypadkach na podstawie obserwacji biznesmenów podczas pracy i dogłębnych wywiadów z nimi. Oczywiście, informacje, które w ten sposób zdobywał, były same w sobie niewystarczające. By wiedzieć, jak zobaczyć logiczną całość — z tego co czytał, obserwował, czerpał z konwersacji — potrzebował kompleksowej teorii. Wymyślenie jej lub rozważenie proponowanej przez kogoś innego wymagało samodzielnego myślenia. To z kolei wiązało się z nauką myślenia. Wiazało się z przyswojeniem tego, co składało się na myślenie, co czyniło myślenie efektywnym lub nieefektywnym, pożytecznym lub bezużytecznym. I tak oto Henry Hazlitt znalazł temat na swoją pierwszą książkę.

W międzyczasie kształtował swoją karierę dziennikarza. Z „Wall Street Journal” przeniósł się do „New York Evening Post”, stamtąd do „New York Evening Mail”, a

stamtąd do „New York Sun”. Pracował jako redaktor naczelny, redaktor finansowy, recenzent książek, twórca esejów dla edycji niedzielnych na aktualne tematy. Wówczas nadeszły lata pisania recenzji książek w „The Nation”, a następnie praca redaktora w „The American Mercury”, gdzie stał się następcą H. L. Menckena, przez niego samego wybranym. Ogłaszając zmiany w zespole redaktorów, Mencken nazwał Hazlitta „jedynym kompetentnym krytykiem sztuki, o jakim słyszał, który jednocześnie był kompetentnym ekonomistą”, a także „jednym z niewielu ekonomistów w historii ludzkości, który potrafi pisać”.

Z „The American Mercury” przeniósł się do „New York Timesa”, gdzie pracował u schyłku lat 30. oraz przez lata wojny, pisząc artykuły wstępne na tematy ekonomiczne i recenzując książki o tejże tematyce dla cotygodniowej niedzielnej sekcji recenzji. Następnie, w 1946 roku, opublikował *Ekonomię w jednej lekcji* i odszedł z „Timesa” do „Newsweeka”. Przez te wszystkie lata Hazlitt kontynuował pogoń, którą rozpoczął u schyłku swych nastoletnich lat, gdy odszedł z City College — pogoń za wyższym wykształceniem, którego brak odczuwał i ze specyficznym szacunkiem do tego, czego nauczył się, czytając, obserwując i rozmawiając o właściwym stosunku jednostki do społeczeństwa oraz poszukując całościowej teorii, która umożliwiłaby mu połączenie tego wszystkiego w coś sensownego.

Hazlitt prawdopodobnie pierwszy raz czytał [Herberta Spencera](#) mniej więcej wtedy, gdy odszedł z City College, a przez pewien czas to teoria Spencera o ludzkim społeczeństwie służyła mu jako przewodnik. Ogólnie rzecz biorąc, służyła mu dobrze, choć pozostawiła wiele ekonomicznych pytań bez satysfakcjonujących odpowiedzi. Aż do 1938 roku, kiedy Hazlitt przeczytał książkę o tytule *Socjalizm*, niedawno wydaną po angielsku, opublikowaną kilka lat wcześniej w Londynie, a po raz pierwszy w Niemczech w 1922 roku przez kogoś, o kim Hazlitt słyszał, lecz kogo nigdy nie czytał — austriackiego ekonomistę o nazwisku Ludwig von Mises. Mises tłumaczył, że subiektywna, indywidualna preferencja to źródło wartości ekonomicznej, że marginalna wartość jakiegokolwiek dobra lub usługi dla nabywającej go grupy determinuje jego cenę i że ceny dostarczają informacji przedsiębiorcom o tym, gdzie nabywające grupy najchętniej widziałyby produktywne inwestycje w gospodarce. Mises powalił Hazlitta na kolana.

Hazlitt miał 44 lata i od ponad 20 lat zawodowo zajmował się pisaniem na tematy gospodarcze. Lecz pod żadnym względem nie był za stary, by nauczyć się kilku

nowych sztuczek. Od tego momentu, gdyby go zapytać, Hazlitt powiedziała, że największy intelektualny wpływ na jego myślenie o ludzkim społeczeństwie wywarł Ludwig von Mises. Napisał tekst w „New York Timesie” o *Socjalizmie* Misesa i wymienił z nim samym kilka listów, gdy ten był w Genewie. Pewnego dnia, dwa lata później, podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu w swoim mieszkaniu na Washington Square w Nowym Jorku i usłyszał: „Tu Mises”. Hazlitt był oszołomiony. „Tak jak mówiłem wielu moim znajomym — tłumaczył dziennikarzowi w wywiadzie w 1983 roku — to było tak, jakby ktoś zadzwonił i powiedział »Tu John Stuart Mill«”.

Mises był wówczas w Nowym Jorku, jak się okazało, zbiegłszy z ogarniętej przez nazistów Europy i potrzebował pracy. Hazlitt robił, co mógł, i okazało się, że było to całkiem sporo. Załatwił Misesowi, że ten napisze kilka krótkich artykułów dla „New York Timesa” po to, by zwrócić uwagę amerykańskiego świata intelektualistów na jego nazwisko. Pomógł Misesowi w zdobyciu stypendium Fundacji Rockefellera, która umożliwiła mu napisanie dwóch krótszych książek: *Omnipotent Government* i *Biurokracja*. Przekonał wydawnictwo Uniwersytetu Yale do publikacji tych dwóch dzieł w 1944 roku, a także znacznie dłuższego *Ludzkiego działania* kilka lat później — w 1949 r. Hazlitt redagował wszystkie trzy rękopisy, jak powiedział dziennikarzowi w 1983 r., „na życzenie wydawcy, do angielskiego wydania”.

Hazlitt pomógł Misesowi zdobyć stanowisko profesora wizytującego na New York University Graduate School of Business Administration. Pomógł w organizacji komitetu zamożnych darczyńców, którzy fundowali pensję Misesa na NYU, gdyż uczelnia ta niechętnie zgodziła się wziąć pod swe skrzydła najwybitniejszego ekonomistę i teoretyka społecznego XX wieku i nie była skora do wykładania na niego swoich własnych środków. Ostatecznie Hazlitt zapoznał Misesa z Leonardem Readem z Fundacji Edukacji Ekonomicznej, która następnie dała mu zatrudnienie jako wykładowcy i doradcy w kwestiach ekonomicznych. Gdy pisał *Ekonomię w jednej lekcji* w 1945 roku, Hazlitt był pod całkowitym wpływem idei Misesa. *Ekonomia w jednej lekcji* to najlepszy krótki wstęp do misesowskiej — a więc austriackiej — ekonomii.

Podczas tworzenia nowych znajomości, Hazlitt zapoznał Misesa z zapaloną młodą pisarką, którą niedawno poznał — rosyjską imigrantką po trzydziestce, przedstawiającą się jako Ayn Rand. Dotychczas Rand wydała jedną powieść, która odniosła sukces, o tematyce opartej na upadku indywidualizmu w Związku Radzieckim, *We the Living*, a jej sztuka „Noc 16 stycznia” miała przeciętnie udany

sezon na Broadwayu. Było to przed napisaniem przez nią klasycznej powieści indywidualistycznej *Źródło* czy klasycznej powieści libertariańskiej *Atlasa zbuntowanego* — powieści, które obdarzyły ją sławą, reputacją i fortuną. Była młodą pisarką w drodze na szczyt, w punkcie kariery, w którym nieco pomocy ze strony starszego, bardziej ugruntowanego pisarza — poznanie, przykładowo, ważnego, starszego intelektualisty, który promował idee podobne do tych promowanych przez nią — okazałoby się przydatne. Tak, jak zatroszczył się o Misesa, Henry Hazlitt zatroszczył się również o Ayn Rand.

Niedługo po przegranej [Barry'ego Goldwatera](#) z Lyndonem Johnsonem w wyborach prezydenckich w 1964 roku, podczas semestru zimowego, w ciągu którego brałem udział w debatach o pracach publicznych dla bezrobotnych, urządzone zostało spotkanie w celu uczczenia siedemdziesiątych urodzin Henry'ego Hazlitta. Wielu, a może nawet wszyscy libertarianie, którzy byli na nim obecni, widzieli Goldwatera jako kandydata, który autentycznie chciał nadać amerykańskiej polityce publicznej bardziej libertariański kierunek — uznali więc jego porażkę jako katastrofę dla wolności indywidualnej. Jednak gdy 82-letni wówczas Ludwig von Mises powstał, by zwrócić się do gości, jego spostrzeżenia były, przynajmniej częściowo, pełne nadziei. „Každy przyjaciel wolności może dziś, w tym powyborczym miesiącu, być dość pesymistycznie nastawiony na przyszłość” — powiedział — „lecz nie zapominajmy, że powstaje właśnie nowe pokolenie obrońców wolności”.

Wtedy, zwracając się bezpośrednio do Hazlitta, którego nazywał „wybitnym przyjacielem”, Mises zadeklarował, że jeśli trudy poniesione przez nowe pokolenie obrońców wolności okażą się skuteczne, „będzie to w dużej mierze twoja zasługa, owoc pracy, którą wykonałeś przez siedemdziesiąt lat swojego życia”. Jako że:

*W tym czasie wielkiej walki o wolność i system społeczny, w którym ludzie mogą żyć jako wolni ludzie, jesteś naszym przywódcą. Walczyłeś niestrudzenie ze stopniowym wzrostem sił, chcących zniszczyć wszystko, co ludzka cywilizacja tworzyła przez długie wieki (...).
Jesteś ekonomicznym sumieniem naszego kraju i narodu.*

Jako członek pokolenia libertarian, które powstawało w czasie, gdy Mises dzielił się tymi uwagami, mogę sobie pozwolić na lekkie upojenie się sukcesem, który

odnieśliśmy. W niemal pół wieku, które minęło od czasu przemówienia Misesa, z pomocą naszych starszych i, coraz częściej, młodych członków ruchu, zdołaliśmy przekształcić ruch libertariański w coś o wiele, wiele większego, lepiej zintegrowanego oraz intelektualnie i instytucjonalnie silniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Nasze trudy okazały się skuteczne. A Henry Hazlitt jest niekwestionowanie pośród tych, u których mamy dług wdzięczności za stworzenie fundamentów i wybrukowanie drogi, którą mamy przed sobą.